CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 10 22 STYCZNIA 1976 R. CENA 1,50 ZŁ

DZWONEK, PRZERWA!

Każdy uczeń przeżywa ten moment kilka razy dziennie. W młodszych klasach — rzadziej, w starszych — częściej, cztery, pięć a nawet i sześć.

Dzwonek więc zadzwonił, nauczyciel zakończył lekcję, pozostaje 10, 15, czasami 20 minut wolnego czasu. Niby to niewiele, ale przez cały dzień szkolny nazbiera się tego około godziny, przez cały tydzień — prawie sześć godzin. I dalej: przez miesiąc, przez rok szkolny, przez całą szkołę...

Jak ten czas wykorzystać?

Przebałaganić czy coś w tym czasie zrobić?

A jeśli zrobić, to co — przygotowywać się do następnej lekcji czy słuchać muzyki? A może jeszcze coś innego?

Na str. 6 drukujemy dzisiaj podsumowanie ogłoszonej kilkanaście tygodni temu echo-sondy pt. „Dzwonek, przerwa!", znajdziecie tam odpowiedź na niektóre z tych pytań.

Zdjęcie: **M. Szymański**

Jedyna w kraju!

ŁÓDZKA HARCERSKA BIBLIOTEKA CIESZY SIĘ WIELKIM POWODZENIEM

ŁÓDŹ (HSI). W Łodzi przy ulicy Żubardzkiej 3 istnieje jedyna w kraju harcerska biblioteka. Przy bibliotece utworzono specjalny klub, popularyzujący osiągnięcia łódzkich harcerskich drużyn wodnych. Biblioteka i klub cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem. **(ws)**

Wyspa koralowa w Górach Świętokrzyskich

WOLKA BEŁTOWSKA (PAP). W okolicach tej wsi w Górach Świętokrzyskich prowadzone są badania szczątków tropikalnego lasu, który szumiał tu przed 160 milionami lat.

Las porastał niewielką koralową wyspę, która zapadła się w wodę. Szczątki roślinne utrwaliły się w morskich osadach i dzięki temu znaleziono tu bogaty zestaw górnojurajskiej flory. Jak wynika z badań (prowadzą je geolodzy z Krakowa i z Warszawy) rosły tu pradawne iglaste drzewa zbliżone do araukarii, gatunki przypominające miłorzęby i drzewiaste skrzypy. Są to pierwsze okazy olbrzymich skrzypów znalezione na terenie Europy.

Szczątki tropikalnego lasu zachowały się w dobrym stanie. Znaleziono nie tylko fragmenty i odciski pni oraz gałęzi, ale również drobne pędy, kwiatostany i szyszki.

Naukowcy ustalili, że liście roślin pokryte były grubymi błonami, co pozwala przypuszczać, że w owym czasie panował tu suchy i gorący klimat. (wm)

ZIMA W KRATKĘ

Pogoda kaprysi. Śniegu tyle co na... lekarstwo. Tylko w górach jest go pod dostatkiem. Tam też ściągają miłośnicy „białego szaleństwa".

Istniejące wahania temperatury są też przyczyną wielu zmartwień organizatorów zimowej olimpiady. Specjalne ekipy pracują w Innsbrucku na pełnych obrotach. Dziesiątki transporterów i tysiące żołnierzy zwożą śnieg z wyższych partii gór. Trudno więc dziś powiedzieć w jakich warunkach rozegrane zostaną innsbruckie igrzyska. **(zp)**

Zdjęcie: **CAF**

Wielka wystawa plastyczna

TARNÓW (HSI). Komenda Tarnowskiej Chorągwi ZHP ogłosiła niedawno konkurs plastyczny pod hasłem „Praca dla ojczyzny". W zadziwiająco krótkim czasie wpłynęło 647 prac, a ogółem wzięło udział w konkursie ponad 8000 zuchów z całej chorągwi. Po wnikliwej ocenie jury wybrało 20 najlepszych prac, które zostały nagrodzone. Aby wyeksponować większość nadesłanych rysunków, zorganizowano w Domu Kultury Zakładów Azotowych „Wielką wystawę plastyczną". **(ach)**

WILKI W ROLI PASTERZY?

To niemożliwe — powie ktoś

A JEDNAK TO PRAWDA!

(PAP). Amerykańscy zoolodzy stwierdzili niedawno, że wilkom na preriach groziła zagłada. By uchronić zwierzęta przed ostatecznym wytępieniem, postanowili przekonać społeczeństwo, że wilk też może być zwierzęciem pożytecznym. Proponują zatrudnić te drapieżniki przy... wypasie owiec! Ba, ale jak zniechęcić je do baraniny? I na to znajdzie się sposób. Przez pewien czas na terenach zamieszkanych przez wilki rozrzucać się będzie mięso baranie silnie nasycone solą kuchenną. Po takich posiłkach wilki odczują nieprzyjemne sensacje żołądkowe. Sądzi się, że kilka poczęstunków skutecznie odzwyczai je od baraniny. Wytresowane w ten sposób drapieżniki przejmą role... psów-owczarków. **(mat)**

Dzisiaj babcia nie zawsze kojarzy się z siwą panią w ciepłych pantoflach, siedzącą w wygodnym fotelu i robiącą na drutach. Moja babcia jeszcze taka była: wieczorami siadała do robótek, a cały dzień dreptała po domu. Gotowała wspaniałe obiady, w każdą sobotę wypiekała pachnące ciasta, całą książkę kucharską miała w głowie. Stała w oknie, gdy wnuki wybiegały do szkoły, machała nam ręką przez szybę, jakby chciała powiedzieć – powodzenia. Ona radośnie otwierała drzwi, gdy wracaliśmy do domu, była pierwszą osobą, która dowiadywała się o szkolnych kłopotach. Donosiła do szkoły zapomniane śniadania. Pamiętała o jakich książkach marzyliśmy, aby wręczyć je w dzień imienin. Dzierżyła domowe finanse,

21 stycznia

TAKI DZIEŃ ZDARZA SIĘ RAZ

liczyła, oszczędzała. Dawała wnukom na kino i na wycieczkę. Babcia – anioł! Zawsze w domu, zawsze pod ręką, „wszystkorobiąca".

Parę dni temu popełniłam gafę, pytając na spacerze opiekunkę sympatycznego dziecka czy jest to córka czy syn. Odpowiedziała jakby z zażenowaniem: wnuk. Ten fakt spowodował, że zaczęłam przyglądać się babciom. Minęło zaledwie kilkanaście lat, a babcie są inne. Młodsze jakby, a może tylko bardziej zadbane. Chodzą do fryzjera, ciągle szyją nowe kreacje. Bo przecież w przeważającej większości są to kobiety pracujące zawodowo, posiadające własne zainteresowania, rozszerzające swe horyzonty poprzez literaturę, telewizję, kino. Często spotykają się z babcią-koleżanką na kawie, aby pogadać o kochanych wnukach. Kochają je również, ale tylko czasami pomagają w lekcjach i posiedzą wieczorem w domu, gdy rodzice wyjdą. Ale nie codziennie. Bo muszą mieć czas dla siebie. Wyjeżdżają na wczasy, do sanatorium, nawet za granicę. I wcale nie chcą iść na emeryturę ani stać się pomocą domową swoich dzieci. Babcie wyemancypowały się, chcą mieć coś z życia dla siebie. I mają rację!

Wszystkim Babciom – i tym aniołom, i tym wyemancypowanym ofiarujmy nie tylko w dniu ich święta kwiatek i... zamiast domowych bamboszy – szminkę albo korale. Podejrzewam, że bardziej się ucieszą! **(ew)**

KONIEC WIELKIEJ SPOKOJNOŚCI

„Wsi spokojna, wsi wesoła..." – mówił z pewnym uniesieniem Jan Kochanowski, wychwalając „pożytki wszytkie", jakie wynikają z życia na wsi – płynącego niespiesznie, od wschodu do zachodu słońca, od zbioru do zbioru, pośród spokojności ogromnej, nieskażonej tragediami wielkiego świata, bo od tego świata oddzielonego jakby barierą.

Ten obraz sielsko-anielski utrwalali w nas przez wieki poeci i była w tym jakaś prawda, choć trudno się zgodzić, że wieś żyła bezkonfliktowo.

„Wieś to miejsce, w którym dokonują się ogromne dramaty – pisał jeden z przedwojennych socjologów – życie jest tam barwne i wcale niemonotonne, bo tam, gdzie są ludzie zawsze dochodzi do spięć różnorakich. A tam, gdzie jest zbiorowość tak bardzo zamknięta, znająca się od zawsze, gdzie żaden ruch człowieka nie może pozostać nie zauważony, gdzie pojawienie się kogoś z zewnątrz urasta do rangi ogromnego wydarzenia, które elektryzuje wszystkich, tam więc te dramaty są jeszcze ostrzejsze. A jednak choćby nie wiem co się tam działo, to jednak jest to wielka spokojność, ponieważ rzeczy te dzieją się wewnątrz zamkniętego organizmu, który sam przywraca sobie równowagę. Bunt żony poskramia mąż, bunt chłopa jego dziedzic i chłop znów jest chłopem. Musi siać, orać, hodować zwierzęta, płodzić dzieci, budować dom i tak wkoło Wojtek. A że tam na przestrzeni wieków rodzaj pługa się trochę zmienił, wóz nabrał większej szlachetności, to przecież strzechy pozostały te same, tak samo ciecze rolnicze życie, tak samo hermetyczna i obojętna na głosy świata jest wiejska społeczność".

TEN obraz wsi polskiej nie odpowiada już rzeczywistości. Minął wraz z końcem II wojny światowej, z początkiem reformy rolnej i ekspansją przemysłu w warunkach nowego ustroju. Ja wiem, że można jeszcze wymieniać wsie, gdzie życie jakby było powolniejsze, gdzie są strzechy i każdego przybysza ogląda się z ciekawością, niczym mieszkańca obcej planety, ale to już wyjątki. Statystyka jest nieubłagana i obala wszelkie mity.

Od wielu lat obserwuję wieś rodzinną mojej matki. Leży ona niedaleko Piaseczna. Niegdyś prowadził do niej wąski wyboisty trakt, z daleka od głównych dróg. Wieś przykucnęła niedaleko lasu i rzeczki. Było w niej sielsko i spokojnie. Synowie przejmowali schedę po ojcach i, tak jak oni, wychodzili w pole, **ucząc się miłości do ziemi i tego, że ona właśnie jest ich JEDYNYM LOSEM**. Córki pomagały matkom w obejściu i z wolna przygotowywały się do roli żon i matek. Tak było. Młodzież ze wsi rodzinnej mojej matki nie miała innej możliwości. Swą przyszłość musiała widzieć w miejscu swego urodzenia.

Owszem, zdarzały się ucieczki, ale fakty to były sporadyczne i jednoznacznie komentowane przez wioskową opinię – negatywnie.

Aliści po wojnie coś się z tą wsią stało. Raptem ta idąca od wieków utartą koleiną społeczność zaczęła być targana różnymi sprzecznymi ambicjami. Synowie rzucali gospodarki ojców, przenosząc się na stałe do miasta. We wsi tej „zostać rolnikiem i uprawiać własną ziemię" przestało być jedyną ambicją chłopców, a dziewczęta coraz rzadziej marzyły wyłącznie o dobrym ożenku z zamożnym gospodarzem.

Oczywiście nie wszyscy tracili raptem chęć do rolnictwa. Ludzie są przecież różni, różne są ich ambicje. Co jednak spowodowało, że marzenia części młodzieży wiejskiej wyszły nagle poza rolnictwo?

TO wciąż rozbudowujący się przemysł potrzebował rąk do pracy. To on rozbudził nowe zainteresowania. A miał dla mieszkańców wsi dużą siłę przyciągającą. Przede wszystkim odmienny styl pracy i życia: **określona liczba godzin na dobę, a potem CZAS WOLNY; stała pensja. Były to wartości do tej pory w życiu chłopa nieosiągalne.** W gospodarstwie pracuje się przecież prawie bez przerwy, dochód jest zależny od plonów, plony w dużej mierze od pogody, poczucie bezpieczeństwa w związku z tym mniejsze. I zupełna zależność członków rodziny od siebie, podczas gdy przemysł to niezależność prawie pełna od rodziny, od sąsiadów, to większa anonimowość.

Nie wszyscy jednak chcieli zdobyć się na rozwiązanie radykalne, nie każdy też czuł się zdolny do opuszczenia wsi na stałe; **powstała więc wielka armia tzw. chłoporobotników,** którzy przemierzają codziennie drogę ze wsi do miasta i z powrotem, **zasilając dochód z gospodarstwa dochodem ze STAŁEJ MIEJSKIEJ POSADY.**

Ale przecież we wsi mojej matki nadal żyją ci, którzy utrzymują się wyłącznie z rolnictwa. Oni nie jeździli tak często do miasta, nie mieli z nim stałego kontaktu, słuchali jednak chciwie ludzi bywających tam na co dzień. **Miasto zresztą przyszło do nich w końcu samo – wraz z telewizją, radiem i gazetą.** Opowiastki ziomków, wspierane obrazem żywym i pisanym, rozbudzały wyobraźnię, rozpalały umysł. **Oni też zaczęli chcieć żyć lepiej, pozwolić sobie na odrobinę czasu wolnego i na podwyższony standard.** Jak? Osiągając wyższe plony i mniej harując. Wraz z rozwojem przemysłu pojawiły się więc na wsi maszyny – coraz bardziej skomplikowane i ułatwiające pracę rolnikowi. Wieś zaczęła się mechanizować. Indywidualnie i zespołowo. Powstały kółka rolnicze, pojawiali się fachowi doradcy – z dyplomem szkół średnich i wyższych: zootechnicy, agronomowie, melioranci, weterynarze.

Wieś zaczęła się dorabiać inteligencji. Tworzą ją obok wymienianych fachowców także nauczyciele, lekarze, działacze kulturalni. Ich bezpośredni kontakt z mieszkańcami powoduje, że życie społeczne wsi staje się atrakcyjniejsze. Wartości kulturalne, które wnosi w środowisko inteligencja, uwidaczniają się na każdym kroku: w klubach, kołach, sekcjach zainteresowań, w amatorskich teatrach, dyskusjach, prelekcjach. W życiu kulturalnym wsi, które niegdyś ograniczało się przeważnie do zbiorowego śpiewania na weselach i chrzcinach, teraz panuje niebywały ruch. **Mieszkaniec wsi bierze udział w kulturze ogólnonarodowej.** Kiedyś było to nie do pomyślenia.

ZAPOCZĄTKOWANE zaraz po wojnie tzw. wychodźctwo ze wsi do miast – trwa nadal. Niedawno liczba ludności miejskiej i wiejskiej zrównała się, ale już dziś ta równowaga nie istnieje. Miastowych jest więcej, 55 proc. I jest to ogólnoświatowa prawidłowość. Ludności w miastach będzie przybywać. Co się jednak dzieje na wsi?

Rośnie liczba gospodarstw bez następców, gdyż dzieci odeszły do miasta. Mówi się o potrzebie przejęcia przez nowych użytkowników około 2 milionów ha ziemi. Jednocześnie tworzy się nowa grupa rolników, młodych, wykształconych, którzy zaczynają prowadzić gospodarstwa typu farmerskiego, łączą się w kilkuosobowe zespoły specjalistyczne; powstają spółdzielnie produkcyjne, a na ziemiach opuszczonych przez starych gospodarzy – wielkie państwowe gospodarstwa rolne. Niektóre zaczynają się rozwijać w tzw. agromiasta.

Wieś polska podlega więc bardzo szybkim przeobrażeniom. Nie ma mowy o dawnej spokojności i zamkniętości wsi. Dziś prowadzą do niej coraz częściej asfaltowe i brukowane drogi, po których jeżdżą skomplikowane maszyny rolnicze i samochody. Dzisiejszy rolnik i dzisiejsza wieś to coś, co nie przypomina już w niczym tamtego literackiego obrazu. I dlatego chciałbym w kilku kolejnych artykułach pokazać, jak wygląda kres tej wielkiej niegdysiejszej spokojności.

Za pięć dni w tym cyklu: „Różne barwy miłości".

WOJCIECH PIELECKI

Nie jest samotna w swej walce

Od ponad trzech miesięcy wydarzenia w Angoli budzą niepokój postępowej opinii światowej. Od proklamowania w dniu 11 listopada ub. r. Ludowej Republiki Angoli nie ustaje bowiem zbrojna agresja przeciw niej ze strony Republiki Południowej Afryki i Zairu.

Rządy w niepodległej Angoli objął MPLA czyli Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli, który ma ogromne zasługi dla sprawy niepodległości. Jego postępowe oblicze — łączy on bowiem walkę narodowo-wyzwoleńczą z ideałami sprawiedliwości społecznej — budziło jednak od dawna obawy państw imperialistycznych o utratę wpływów w tym kraju, a także niechęć najbardziej zachowawczych rządów afrykańskich. Aby więc przeciwdziałać szybko rosnącemu autorytetowi MPLA zorganizowano dwa inne, rozłamowe ruchy: FLNA i UNITA.

Zainteresowanie imperializmu Angolą wynika z wielu przyczyn. Jest to kraj bogaty w cenne surowce. Postępowa Angola stała się zagrożeniem dla rasistowskich reżimów w południowej Afryce. Stanowi też teren stracony dla NATO, który od Hiszpanii aż po RPA chciałby rozbudowywać swoje bazy. Zair jest ponadto zainteresowany w zagarnięciu prowincji Kabindy zasobnej w złoża ropy naftowej.

Dlatego agresja przeciwko niej przybrała charakter brutalnej napaści międzynarodowych sił imperializmu. Przeciwko żołnierzom MPLA walczą nie tylko regularne oddziały wojsk RPA i Zairu, lecz także przywdziewający mundur FLNA i UNITA płatni, biali najemnicy rekrutujący się z byłych faszystowskich policjantów portugalskich, awanturników wynajmowanych już wcześniej w czasie walk w Kongo, a także — jak podają zachodnie gazety — z ludzi rekrutowanych przez wywiady w USA i w Wielkiej Brytanii. U wybrzeży Angoli pojawił się amerykański lotniskowiec, amerykańscy lotnicy przewożą broń z Zairu do Angoli.

Jak oświadczył w Waszyngtonie amerykański senator Richard Clark, USA pierwsze rozpoczęły ingerencję w sprawy Angoli przekazując już w styczniu ub. r. FLNA sumę 300 tys. dolarów. W tej sytuacji radziecki dziennik „Prawda" oświadczył, że ZSRR — podobnie jak inne państwa socjalistyczne — będzie dalej udzielał LRA poparcia moralnego i materialnego.

Ostatnio sytuację w Angoli rozpatrywali szefowie 46 państw należących do Organizacji Jedności Afrykańskiej. Sesja OJA — wbrew swej nazwie — nie wykazała jedności w sprawie Angoli. Ale mimo silnych nacisków USA, które np. rząd Nigerii określił jako „pouczenie rządów państw afrykańskich", „upokorzenie całej Afryki, naruszenie godności Afrykańczyków", 22 państwa wypowiedziały się za rezolucją uznającą rząd LRA jako jedynego przedstawiciela nowego państwa, potępiającą inwazję RPA i Zairu oraz zaangażowanie białych najemników. Ugrupowanie FLNA i UNITA nazwały one „bandą zdrajców". Jest to duży sukces MPLA, tym bardziej że samozwańczego rządu rozłamców nie uznał do tej pory nikt.

Zgłaszane przez przeciwną stronę propozycje: zawieszenia broni i pertraktacji z FLNA i UNITA są nie do przyjęcia ani dla rządu Angoli, ani dla popierających go postępowych państw afrykańskich. Nie można bowiem pertraktować z sojusznikami rasistów z RPA. Zawieszenie zaś broni działałoby na szkodę armii ludowej, która odnosi sukcesy. W styczniu zdobyła na północy miasto Carmona, siedzibę kierownictwa FLNA oraz miasta Songo i Toto, a na południu zadała duże straty i odrzuciła wojska RPA w rejonie miast: Kibala i Santa-Komba. Rozejm byłby więc wygodny dla wrogów republiki, pomógłby im dozbroić się i przejść do kontrataku. A naród Angoli nie zrezygnuje z tak drogo wywalczonej wolności. I nie jest w tej walce samotny.

JERZY MAJKA

SPORT z WDZIĘKIEM

Fotoreportaż MARKA SZYMAŃSKIEGO

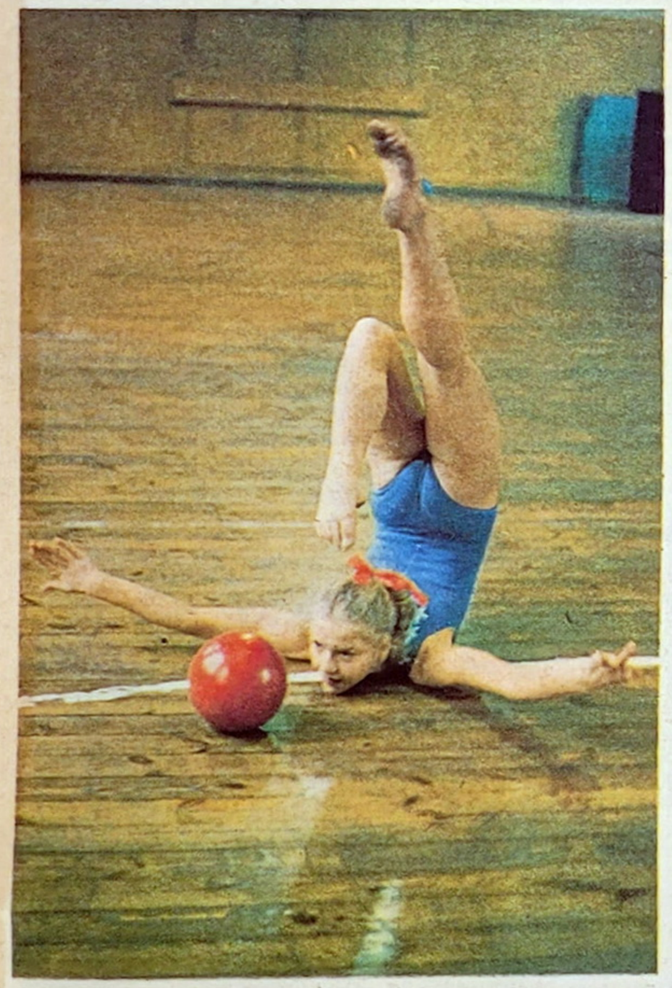

Z gracją i wdziękiem dziewczęta wykonują różnego rodzaju układy ćwiczeń. Migają w oczach obręcze, zaś za przesuwającą się wokół zgrabnej sylwetki gimnastyczki, kreślącą przeróżne esy-floresy, wstążką nie nadążają oczy obserwatora.

Tak ćwiczą na treningach członkinie KS „Energetyk" w Poznaniu, jedne z najlepszych w naszym kraju w tym pełnym piękna i gracji sporcie.

Fascynujące wszystkich piękno i wdzięk tego sportu starał się utrwalić na zdjęciach nasz fotoreporter.

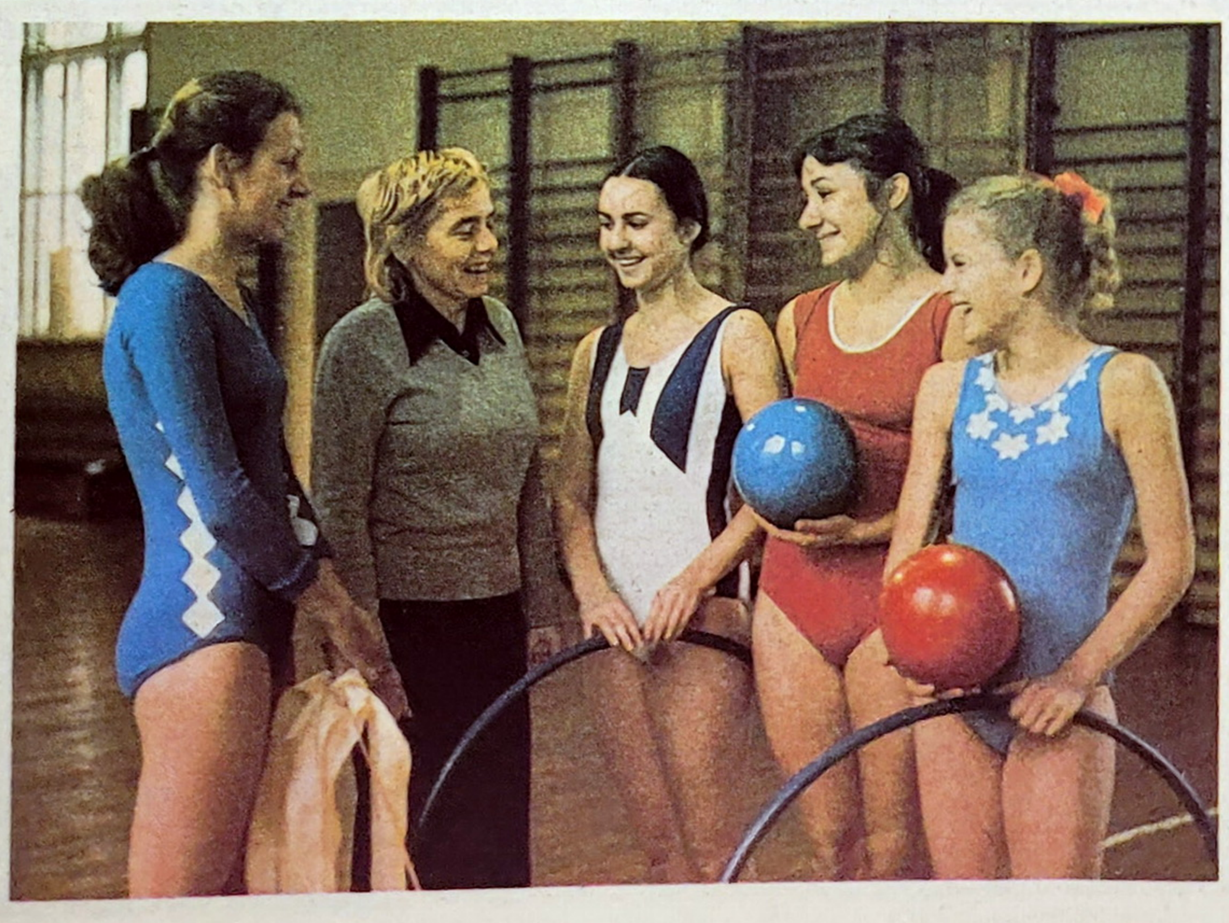

Chciałbym opowiedzieć

O MOICH CHŁOPAKACH

PYTA pani o tamte czasy i chce usłyszeć o moich przeżyciach z okresu walki... A ja chciałbym przede wszystkim opowiedzieć o moich chłopakach, o najmłodszych gwardzistach – mówi tow. **Antoni Parzuch,** który był komendantem Gwardii Ludowej Dzielnicy Drewnica – Marki od chwili powstania GL na tym terenie, tzn. od lutego 1942 roku, a następnie komendantem Armii Ludowej i jego to właśnie poprosiłam o wspomnienia.

– Mieliśmy w organizacji grupę minerów. Najlepsi z najlepszych to Szczepan Konopka – niezwykle żywy – drobny niewysoki blondyn jakby dla kontrastu zwany „Kowbojem", Staszek Pastucha – średniego wzrostu, również blondynek, pseudonim „Sęp" i Staszek Sobański, pseudonim „Kary".

Najbardziej wbili mi się w pamięć „Kowboj" i „Sęp". „Sępa" w ogóle nie chcieliśmy przyjąć do organizacji, bo

Towarzysz Antoni Parzuch, dowódca Gwardii Ludowej dzielnicy Drewnica – Marki. Za działalność bojową odznaczony Krzyżem Grunwaldu III klasy, dwukrotnie Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Partyzanckim. Za pracę w okresie pokoju otrzymał Order Sztandaru Pracy I i II
Zdjęcie: Sylwia Szutkowska

chłopak w 1942 roku miał zaledwie 16 lat. Po usilnych molestowaniach przyjęliśmy go do sekcji młodzieżowej. I on to właśnie kurs minerski ukończył z wyróżnieniem!

NAJWIĘKSZY SUKCES ŻYCIOWY „KOWBOJA"

We wrześniu 1943 roku dowodziłem akcją szkoleniowo-bojową grupy gwardzistów z Wieliszewa (dzielnica Legionowo). Celem akcji miało być wysadzenie pociągu towarowego na linii Legionowo – Chotomów.

– Wszystko jest już niemal gotowe, „Sęp" zaczyna przymocowywać do szyny minę. Nagle słyszymy sygnał ostrzegawczy. Od strony Legionowa zbliża się silny niemiecki patrol ochrony kolei. Widzą nas. Padają strzały. Zaczynamy się wycofywać. Teren oświetlają rakiety, chroni nas młody sosnowy lasek, rosnący tuż przy torze. Wyszliśmy bez strat, ale mina pozostała.

– Strata miny, to kompromitacja dla minera. I szkoda cennego ładunku! – „Sęp" przekonywał mnie, że powinienem pozwolić mu na pójście po nią. Noc była ciemna, mglista. Wzdłuż torów panowała cisza. Tuż przed świtem podczołgaliśmy się z „Sępem" pod tory, chłopiec rozmontował swój skarb i już w innym nastroju wracał do Marek.

Tamtej samej jesieni przeprowadzaliśmy akcję na torach kolejowych między Zielonką a Rembertowem. W owym czasie na tamtej trasie kursowały wyłącznie pociągi wojskowe. Była to pierwsza akcja „Kowboja" i on właśnie zakładał minę.

„Kowboj" kilkakrotnie sprawdzał czy wszystko jest należycie wykonane. Wreszcie mina założona, wycofujemy się na bezpieczną odległość. Noc jasna, pełnia księżyca. Siedzimy na skraju młodego lasu, a „Kowbaj" panikuje.

– Może ją źle założyłem. Może ktoś ją ukradł. Co będzie, jeżeli nie wybuchnie...

Trzymam go za połę płaszcza, chłopak sam tę minę robił, ma prawo być zdenerwowany, ale już by biegł do tych torów i sprawdził jeszcze raz...

Po czterdziestu minutach dochodzi do naszych uszu coraz bliższe dudnienie. Pociąg się zbliża. „Kowboj" zamiera w bezruchu. Nagle błysk! Ziemia drży od wybuchów.

– To jest mój największy sukces życiowy! – chłopiec skacze do góry, rzuca mi się na szyję, jest naprawdę szczęśliwy...

SKARB NR 1

Oczywiście o akcjach na szeroką skalę nie byłoby mowy w pierwszym okresie naszej działalności, gdyby nie „Skarb", który trafił do naszych szeregów prosto z obozu jenieckiego w Buchniku. Pewnego lipcowego dnia 1942 roku jeden z gwardzistów przyprowadził do Drewnicy radzieckiego oficera. Nie był to pierwszy i jedyny przypadek tego rodzaju. Każdy z gwardzistów był gdzieś zatrud-

Dalszy ciąg na str.4

Chciałbym opowiedzieć

O MOICH CHŁOPAKACH

Dalszy ciąg ze str. 3

niony. Spora grupa pracowała w instytucjach budowlanych prowadzących prace dla okupanta. Nierzadko stwarzało to możliwość kontaktu z jeńcami radzieckimi. Prowadziliśmy zorganizowaną pomoc w dożywianiu jeńców. Pomagaliśmy również w ucieczkach z obozu.

Anatol Nazarenko – tak się nazywał nasz gość – okazał się prawdziwym skarbem. Był z wykształcenia inżynierem pirotechnikiem! Oczywiście Nazarenko powiększył nasze szeregi, do końca wojny pełniąc funkcję instruktora z dziedziny sapersko-minerskiej oraz konstrukcji min, granatów i środków zapalających. On to właśnie szkolił naszych minerów. Z zakwaterowaniem nie mieliśmy kłopotów. Wielu mieszkańców Marek i Drewnicy udzielało schronienia jeńcom radzieckim zbiegłym z obozów oraz Polakom „spalonym" na innym terenie.

Tu właśnie przebywał do 1944 roku **Wacław Nalazek**, którego rodzinę wymordowali hitlerowcy w Mińsku Mazowieckim. Przez szereg miesięcy ukrywał się tu **Stanisław Lec**, redagując prasę konspiracyjną oraz wielu, wielu innych. Ja sam nie mieszkałem we własnym domu, a o kilka domów dalej, bowiem Niemcy poszukiwali mnie od chwili wkroczenia na nasz teren.

Laboratorium pirotechniczne Anatola Nazarenko mieściło się w domu małżeństwa **Rozalii** i **Tomasza Humańskich** w Drewnicy. Ci starsi już wiekiem ludzie, którzy sami z bronią w ręku walczyć nie mogli, powiedzieli po prostu: „Niech nasz dom będzie waszym domem..."

KTO KOGO PROWADZI

Jak już wspomniałem, nasza dzielnica ze względu na niezwykłą solidarność mieszkańców, jak i na dogodną komuni-

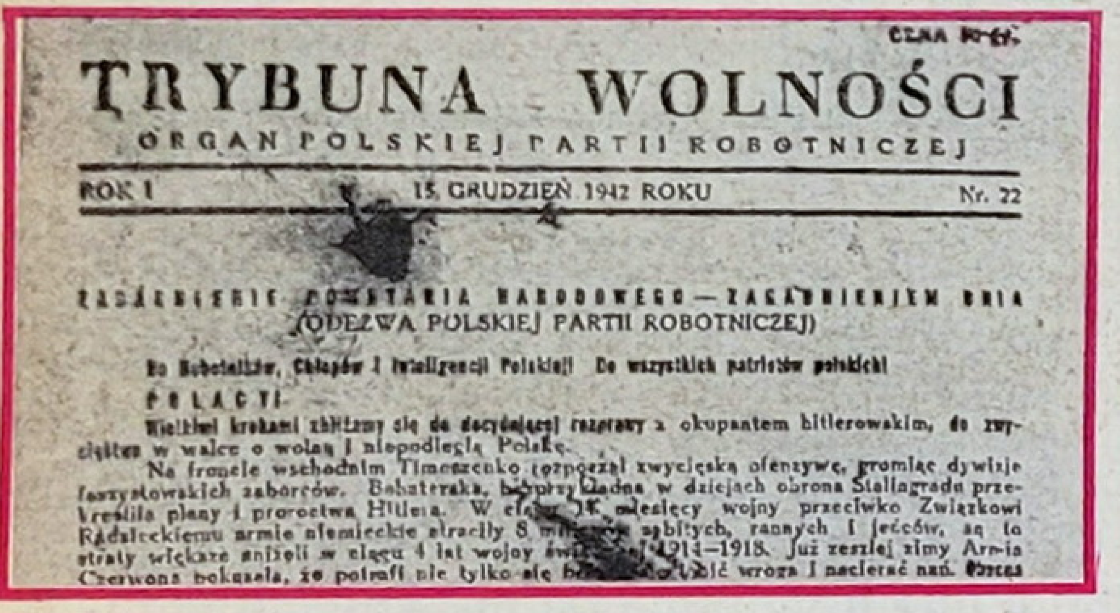
CENA ...

TRYBUNA WOLNOŚCI

ORGAN POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

ROK I | 15 GRUDZIEŃ 1942 ROKU | Nr. 22

(ODEZWA POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ)

POLACY!

Niemal równocześnie z powstaniem PPR powołano do życia „Trybunę Wolności". Jeden z pierwszych numerów znajduje się w posiadaniu Muzeum Ruchu Rewolucyjnego.

kację z Warszawą, była punktem, gdzie chronili się ludzie „spaleni" na innym terenie. Tędy również prowadził tak zwany „szlak przerzutowy". Wiele dziesiątek ludzi narodowości żydowskiej ukrywało się tu po likwidacji getta warszawskiego. Tu jeńcy radzieccy byli dożywiani i kurowani przed przerzutem do oddziałów partyzanckich w lasy wyszkowskie, w rejon Dęblina czy też w Lubelskie.

Pewnego razu, było to we wrześniu 1943 roku, otrzymałem zawiadomienie, że mam się zgłosić na pewien punkt i przejąć stamtąd człowieka, aby przekazać go oddziałowi z Wyszkowa.

Pojechałem. Moim podopiecznym okazał się **Franciszek Mali,** Jugosłowianin wcielony przymusowo do formacji SS. Mali – po nawiązaniu kontaktu z Polakami – postanowił przejść do naszych szeregów.

Przez całą Warszawę przejechałem tramwajem z Franciszkiem, który wystąpił w mundurze SS-mana i w pełnym uzbrojeniu oczywiście. Dalej wąskotorówką do Marek. Był już późny wieczór, kiedy dotarliśmy do mieszkania **Alfredy Minczewskiej,** u której miał się nasz „gość" zatrzymać. Pukamy, wchodzimy, a tam... konsternacja.

– Kto kogo prowadzi?

Oczywiście sprawę wyjaśniłem i nasz „esesman" następnego dnia również w mundurze, odtransportowany został do Wyszkowa. A po wojnie pozostał w Polsce i mieszka tu do dziś.

Wielu moich gwardzistów zginęło, nie wszyscy, którzy nam udzielali schronienia, przeżyli wojnę. Hitlerowcy spalili dom Konopków. Zginęły w nim matka i siostra „Kowboja". Poległ „Kary". Na barykadach Starówki zginął 27.VIII.1944 roku najmłodszy z minerów – Stanisław Pastucha – „Sęp". Ten chłopiec jako jeden z pierwszych, bo w marcu 1944 r. otrzymał najwyższe odznaczenie bojowe – Krzyż Grunwaldu III klasy. Dowództwo AK w uznaniu jego bohaterstwa podczas powstania – odznaczyło go Krzyżem Walecznych...

Wielu gwardzistów poległo w czasie akcji, wielu zginęło już podczas frontu. To, o co walczyliśmy, nie przychodziło łatwo...

WIESŁAWA MROCZEK

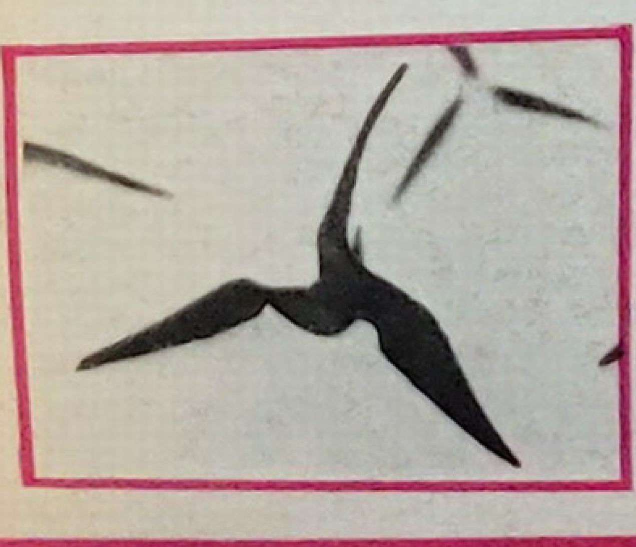

Tak wygląda „żabka" – umiejętnie wygięty kawałek metalu o ostrych końcach. Była to najprostsza broń dywersyjna w pierwszym okresie istnienia GL, przeznaczona do niszczenia opon samochodowych.

Zdjęcia: Marek Szymański

Technik sztuk plastycznych

CO DALEJ ÓSMA KLASO

POD taką nazwą kryją się plastycy, którzy projektują i wykonują tkaniny artystyczne, zabawki, pamiątki, wyroby ceramiczne i wyroby z metaloplastyki oraz biżuterię.

Techników sztuk plastycznych kształcą Państwowe Licea Sztuk Plastycznych. Nauka trwa 5 lat. Kandydaci do tych szkół powinni posiadać zainteresowania i uzdolnienia artystyczne. Każdy kandydat oprócz świadectwa ukończenia szkoły podstawowej i zaświadczenia lekarskiego składa bezpośrednio w liceum także własne prace z rysunku, malarstwa lub rzeźby. Mogą to być prace wykonane w szkole lub w domu. Oprócz tego liceum organizuje sprawdziany z rysunku i malarstwa. Konkurs prac ma wyłonić najzdolniejszych, którzy najlepiej nadają się do tego zawodu.

W liceach plastycznych istnieje kilkanaście specjalizacji: ceramika, tkactwo artystyczne, druk na tkaninie, metaloplastyka, zabawkarstwo, sprzętarstwo (wykonywanie mebli artystycznych), pamiątkarstwo, dekoratorstwo, techniki rzeźbiarskie, biżuteria, techniki graficzne, fotografia artystyczna, konserwacja rzeźby. Uwaga: każda szkoła kształci w niektórych z tych specjalności. Uczeń wybiera tylko jedną.

Licea Szkół Plastycznych znajdują się w: Supraślu, Bydgoszczy, Gdyni, Bielsku Białej, Częstochowie, Katowicach, Kielcach, Krakowie, Tarnowie, Wiśniczu Nowym k. Bochni, Zakopanem, Lublinie, Nałęczowie, Zamościu, Łodzi, Opolu, Poznaniu, Jarosławiu, Sędziszowie Młp., Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu. Wszystkie szkoły posiadają internaty lub istnieje możliwość uzyskania miejsca w bursie międzyszkolnej.

Absolwenci szkoły otrzymują świadectwo ukończenia liceum lub świadectwo dojrzałości (w przypadku złożenia egzaminu) i tytuł zawodowy technika sztuk plastycznych w zakresie obranej specjalności.

Po ukończeniu nauki można podjąć pracę we wzorcowniach zakładów przemysłowych, pracowniach konserwacji zabytków, w wytwórniach zakładów jubilerskich, zakładów zabawek i galanterii metalowej. Domy kultury i świetlice również zatrudniają specjalistów plastyków jako instruktorów. Absolwenci szkoły mogą także znaleźć zatrudnienie w zakładach spółdzielni CPLiA. Po uzyskaniu odpowiednich uprawnień rzemieślniczych mogą pracować chałupniczo lub otworzyć własne warsztaty.

Do liceów plastycznych każdego roku jest bardzo wielu chętnych. Dostają się tylko najlepsi! Warto więc wcześniej porozmawiać z nauczycielem wychowania plastycznego o swoich zdolnościach i możliwościach dalszego kształcenia w zawodzie plastyka.

Dokładne adresy liceów plastycznych można znaleźć w „Informatorze dla kandydatów do szkół zawodowych na podbudowie szkoły podstawowej 1974/75".

(kp)

JACEK ŻAKOWSKI pisze z Algierii:

SAGA RODU SAKHRI

JECHALIŚMY chyba z piętnaście minut. Gliniany mur, otaczający palmiarnię, zdawał się nie kończyć. Musiał mieć co najmniej z dziesięć kilometrów. Wreszcie skręciliśmy w wąską bramę i znaleźliśmy się na wyboistej drodze, między równiutkimi rządkami palm. Popielata, spękana ziemia poprzecinana była licznymi kanalikami nawadniającymi. Tarek wychylił się przez okno. W samochodzie było nas pięciu, ale nikt nie miał odwagi odezwać się. Jechaliśmy wolno, jak za pogrzebem. Jechaliśmy tak dłużej niż kwadrans, zanim znaleźliśmy się na obszernej polance, w rogu której znajdowały się solidnie już nadgryzione zębem czasu zabudowania gospodarcze. Wysiedliśmy. Tarek nawet się do nas nie odezwał. Trzasnął drzwiczkami i wolno poszedł w kierunku starych baraków.

Rodzina Sakhri od wieków zajmowała się hodowlą wielbłądów i kóz. Jeszcze dziadek Tareka był typowym nomadem, przemierzającym wraz ze swą rodziną i wielbłądami bezkresne tereny północnej Sahary. Mniej więcej czterdzieści lat temu Ahmet Sakhri, ojciec Tareka, sprzedał swoje stada i kupił w Biskrze kilka domów w dzielnicy handlowej. Dzięki doskonałej powojennej koniunkturze i nieprzeciętnym zdolnościom udało mu się znacznie pomnożyć majątek. W latach pięćdziesiątych uchodził za jednego z najbogatszych Arabów we francuskiej Algierii. Posiadał wówczas kilkanaście domów, blisko dwadzieścia sklepów i hotel „Chaoui" w samej Biskrze, ogromne (ponoć największe) palmiarnie w jej okolicach, zakład papierniczy w Algierze, przetwórnie daktyli i hotel w Marsylii oraz udziały w wielu przedsiębiorstwach francuskich. W marsylskiej willi Sakhrich, gdzie Tarek spędził dzieciństwo, zawsze było pełno przyjaciół i służby. Stary Sakhri jeździł wspaniałą czarną limuzyną, z szoferem w wykwintnej liberii.

POTEM wszystko zaczęło się chwiać. W Algierii wybuchła wojna wyzwoleńcza, interesy nie szły już tak dobrze jak dawniej. W nieustannie niszczonych, a wymagających ciągłej pielęgnacji palmiarniach zabrakło rąk do pracy. Arabowie przebywający we Francji byli bezustannie szykanowani, Francuzi nie chcieli kupować arabskich daktyli ani mieszkać w arabskich hotelach. Ahmet Sakhri zwolnił więc służbę, sprzedał wille i luksusową limuzynę, a fabryki i hotele powierzył zaprzyjaźnionemu Europejczykowi. Algierczycy wracali do Algierii...

– „Ojciec nigdy nie angażował się w politykę – wspomina Tarek. – Mówił, że człowiek w jego pozycji może sobie pozwolić na apolityczność. Przez całą wojnę nie miał karabinu w ręku". Odmówił, gdy proponowano mu wysoki stopień oficerski w oddziałach harkisów (pomocnicza formacja muzułmańska w armii francuskiej), ale nie chciał też przyłączyć się do ALN (Armia Wyzwolenia Narodowego). Prowadził hotel, doglądał sklepów, powiększał palmiarnie. „Często całe lato mieszkaliśmy w palmiarni pod miastem. Wstawaliśmy przed świtem, sadziliśmy nowe palemki, doglądaliśmy robotników pracujących przy oczyszczaniu kanałów nawadniających. W czasie sjesty kładliśmy się gdzieś w cieniu. On bardzo kochał palmy. Te, tam, przy bramie, sadziliśmy na kilka dni przed jego śmiercią. Umarł nagle. Miałem wtedy dwanaście lat, czterech starszych braci, trzy siostry... Ojciec zostawił mi najwięcej. Dostałem prawie całą palmiarnię, hotel, kilka sklepów i polecenie opieki nad matką i siostrami. Przerwałem szkołę, zająłem się interesami. Rozwijałem palmiarnię..."

TAREK miał nieco więcej szczęścia niż jego ojciec. Interesy szły mu niby dobrze, ale zawsze coś musiało wyskoczyć. Raz był to wypadek samochodowy, kiedy indziej zakaz importu lub eksportu jakichś towarów do Francji, z którą w dalszym ciągu wiązały go liczne interesy. W sumie majątek nie malał, ale też nie rósł. Najgorsze przyszło kilka lat temu, kiedy to znacjonalizowano większość palmiarni, należących do Sakhrich. Nic nie pomogły wpływowe znajomości. Palmy odebrano, ale chyba ktoś o tym zapomniał, bo przez pierwsze parę miesięcy nikt się nimi nie zajął. Nieznani sprawcy zniszczyli rurociąg, prowadzący wodę do upaństwowionej części palmiarni. Większość drzew pousychała, a reszta zdziczała i już dziś wiadomo, że nic z nich nie będzie. Państwo nie ma na razie pieniędzy na remont wodociągu. Kilka dni temu przyszło pismo o upaństwowieniu pozostałej części palmiarni...

Szliśmy między ogromnymi drzewami, przeskakując starannie wypielęgnowane kanaliki nawadniające, zbieraliśmy z ziemi wspaniałe, wielkie, czarne daktyle. Tarek już nigdy tu nie wróci.

Nachylił się, odgarnął kupkę mułu tarasującą przepływ wody w maleńkim kanaliku. Słońce prażyło niemiłosiernie. Usiedliśmy w cieniu jednej z dziesięciu tysięcy palm, które były kiedyś własnością Sakhrich. Dziś przejmie je spółdzielnia. Jej przedstawiciele już czekają. Przyjechaliśmy, by dokonać tego formalnie.

ALGIERIA zmienia się z dnia na dzień. Mimo oporów ze strony znacznej części ludności rząd systematycznie realizuje hasło socjalistycznych przeobrażeń. Z roku na rok przybywa państwowych i spółdzielczych gospodarstw rolnych. Sytuacja ulega stabilizacji. Istnieje nawet szansa szybkiego uzyskania pełnej samowystarczalności żywnościowej (teraz większość produktów spożywczych sprowadza się z Europy). Dobro ogółu wymaga, aby tacy jak Sakhri ustąpili. Prezydent zapowiada pogłębienie socjalistycznych przeobrażeń.

Zdjęcie: archiwum

Kawa w doniczce

OWOCE JAK WIŚNIE!

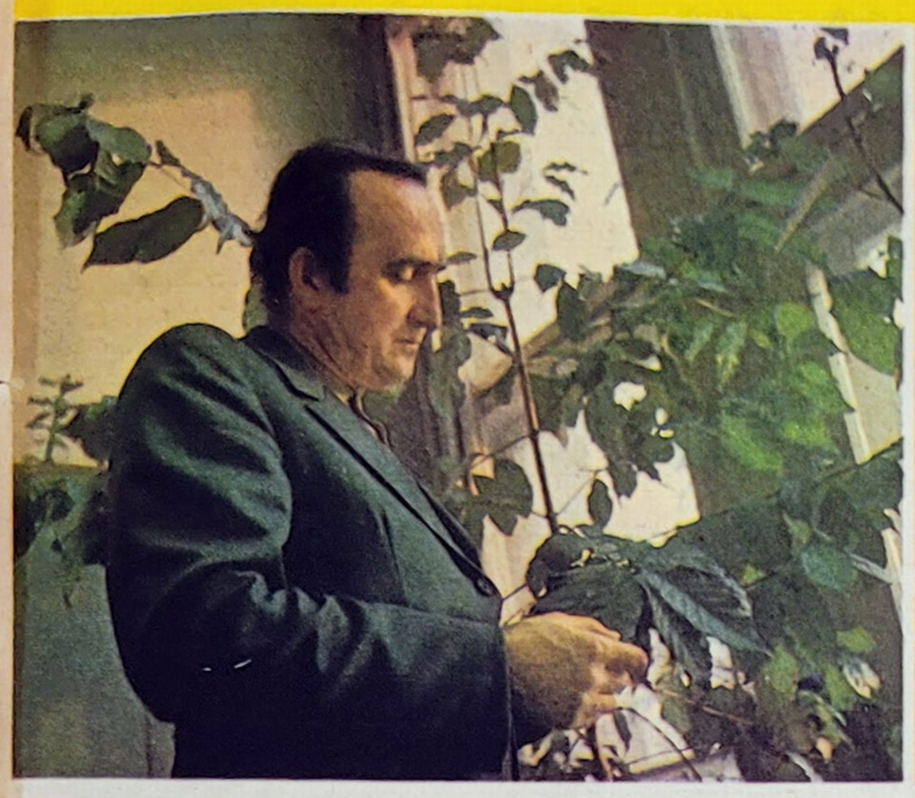

ROSNĄCE w donicy drzewko ma już ponad 2 metry wysokości, a wcześniej sięgnęłoby po sufit, gdyby nie zostało odpowiednio przycięte. Nie jest to jednak palma typowa dla dyrektorskich gabinetów. Przede mną najprawdziwsze drzewo kawowe! W dziekanacie Wydziału Ogrodniczego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – Akademii Rolniczej w Warszawie ma doskonałą opiekę. Skąd się wziął w stolicy ten egzotyczny okaz?

Nasiona kawy przywiózł z Anglii doktor Kazimierz Pliszka kilka lat temu. Już wcześniej prowadząc przez rok badania w Stanach Zjednoczonych, zaczął tam hodować drzewo kawowe. Pozostawił je węgierskiej rodzinie u której mieszkał. Nie wierzył wtedy, że w Polsce uda się podobny eksperyment. Lecz gdy zobaczył w angielskich szklarniach owocujące drzewa kawowe po prostu „zachorował na kawę".

Uprawa w warunkach domowych nie jest sprawą prostą. Roślina to kapryśna: szczególnie wrażliwa na nadmiar lub niedosyt wilgoci. Nic dziwnego, że poważne autorytety naukowe nie wierzyły w powodzenie przedsięwzięcia. A jednak drzewko wyrosło i po czterech latach pojawiły się na nim śliczne białe kwiaty o miłym zapachu. W parę miesięcy później dojrzały owoce.

Oglądam tegoroczne zbiory warszawskiej kawy. Piętnaście kulek półtoracentymetrowej średnicy żywo przypominających... wiśnie. Pod ciemnoczerwoną skórką śluzowaty, białawy miąższ. Tkwią w nim dwa ziarna (nasiona) kawy, każde otoczone pergaminowatą skórką tzw. perykarpem (jest on odpowiednikiem pestki u prawdziwej wiśni). Dopiero po zdarciu skórki widać szare nasiona w cienkiej srebrzystej otoczce.

Niełatwo wyłuskać kawowe nasiona. Normalnie miękną one najpierw w wodzie. Potem przepuszcza się nasiona przez maszynę, która zrywa zewnętrzną (miękką) warstwę owocu. Następnie przez jeden – dwa dni fermentują w zbiornikach w niewielkiej ilości wody. Trzeba je później wysuszyć na słońcu lub suszarce, aby ściągnąć resztę perykarpu. Kolejna maszyna uwolni nasiona od skórki srebrzystej, oczyści je i wypoleruje.

Kawa dopiero po paleniu uzyskuje właściwy aromat. Oczywiście kawa kawie nie równa. Smakosze obdarzeni wyjątkowo czułym nosem potrafią określić na jakiej... wysokości rosło drzewo, z którego nasion sporządzono napój! Najsmaczniejsza kawa pochodzi z górskich i wyżynnych plantacji, położonych na wysokości 1200–1700 m. Uprawy na wysokości 800–1200 metrów dają kawę gorszej jakości. A oto inne wady kawowego aromatu.

Zbyt długie przechowywanie nadaje kawie tzw. smak drewniany, zła fermentacja – cebulowy, pewne środki owadobójcze, którymi spryskuje się drzewa – ceglany.

Drzewo kawowe – w stanie dzikim może żyć i 200 lat, osiągając wysokość 35 metrów. Na plantacjach wycina się je po 30 latach (później spada wydajność). Hodowane drzewa kawowe tworzą szpalery, żywopłoty. Zakwitają tyle razy, ile jest pór deszczowych w ciągu roku w danej okolicy.

Najkorzystniejsza dla hodowców jest jedna pora deszczowa, a po niej kwitnienie i jeden obfity zbiór w ciągu roku. Tam gdzie nie ma pór deszczowych, kawa kwitnie i owocuje przez okrągły rok. Przekonać się o tym mogę na własne oczy. Na drzewku pana doktora Kazimierza Pliszka w kątach liści pojawiły się już pąki następnych kwiatów. Rozwiną się one za miesiąc. Niestety w okolicach pozbawionych pór deszczowych – nawet w łagodniejszym klimacie uprawa kawy zupełnie się nie opłaca.

MARIA WRÓBLEWSKA
Zdjęcia: **M. Szymański**

Ojczyzną kawy jest Abisynia. Uprawiano ją tam już 2000 lat temu. Znacznie później „odkryli ją" Arabowie. Po raz pierwszy kawa trafiła do Europy w 1646 r. Przywiózł ją wenecjanin Pietro del Calle. W 26 lat później Ormianin Pascal otworzył w Paryżu pierwszą kawiarnię. Drugą założył w Wiedniu nasz rodak Kulczycki, bowiem jednym z trofeów bitwy pod Wiedniem były duże zapasy kawy z obozu Kara Mustafy. W Polsce szybko rozpowszechnił się zwyczaj picia kawy. Pierwsza kawiarnia na naszych ziemiach powstała w Gdańsku w 1700 roku. I do dziś kawa cieszy się ogromnym powodzeniem. W ub. roku sprowadziliśmy ponad 26 tys. ton kawy.

Tak owocuje warszawska kawa.

Zdjęcie: **CAF - Rozmysłowicz**

Jakże często przychodzą do redakcji czasopism młodzieżowych listy, w których młodzi ludzie, czując się osamotnieni, pragną za pośrednictwem gazety znaleźć przyjaciela. Tymi najbardziej samotnymi i zagubionymi są zwykle ludzie kalecy. Kto odwróci oczy od ich kalectwa i zaakceptuje? Tu nie wystarczy współczucie ze strony rodziny. Tu trzeba czegoś więcej – PRZYJACIELA, a więc kogoś, kto – jak śpiewa Stan Borys – rękę poda!

W życiu trudno jest o prawdziwego przyjaciela. Szczególnie zaś trudno jest go pozyskać kalece. Chłopcy na ogół wstydzą się iść na

REPORTER Świata Młodych

Znaleźć przyjaciela

spacer z dziewczyną, która po chorobie Heine-Medina ma niezgrabną sylwetkę i utyka na nogę.

Z dziewczętami dzieje się podobnie. Na palcach można policzyć te z nich, które powiozłyby na inwalidzkim wózku kolegę czy koleżankę do parku. Wśród ludzi panuje bowiem przekonanie, że przyjaźnić się z kaleką to strata czasu. Bo takim to i opiekować się trzeba, i ciągle odwiedzać. Nikt nie pomyśli, że chory człowiek pragnie tylko życzliwości. Na nic mu opieka i współczucie! Stać go na samodzielność!

Dosięgnąć szczytu – to dla kaleki znaleźć przyjaciela. A dla człowieka zdrowego fizycznie? On dosięgnie szczytu, gdy zwalczy swój egoizm.

JOLANTA BABEL

44 Rajd Monte-Carlo

CZY POLACY POWTÓRZĄ SUKCES?

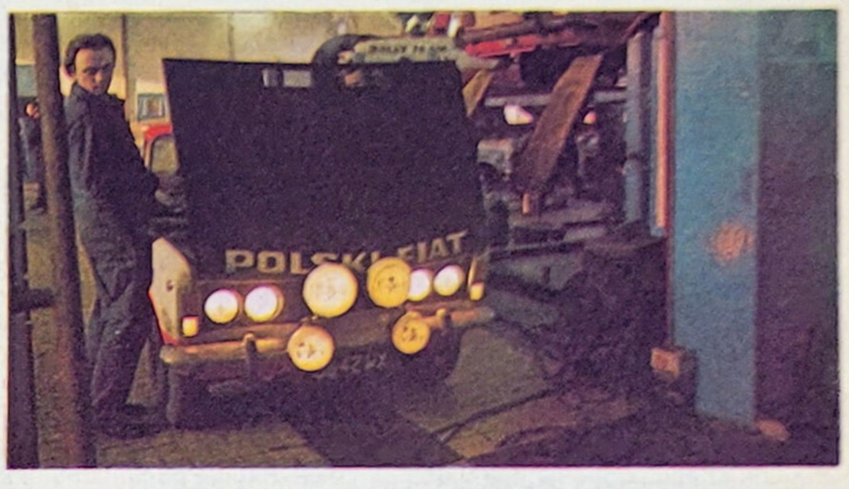

W ostatnią sobotę z 9 miast Europy wystartowali uczestnicy 44 Rajdu Monte Carlo. Tegoroczny RMC, inauguruje sezon rajdowy 1976. Jest on również po raz pierwszy jedną z eliminacji mistrzostw świata producentów samochodów. Stąd na starcie najlepsze ekipy fabryczne i znakomici kierowcy. Naszych barw bronią, jadący na Polskich Fiatach 125p Akropolis 1800 M. Stawowiak – J. Czyżyk, T. Ciecierzyński – J. Różański (FSO Żerań), na Polskim Fiacie 125p 1600 M. Bień – J. Jedynakowa (Stomil Dębica) oraz na Renault 5 J. Landsberg – M. Muszyński (Stomil Olsztyn). Ponadto na Polskim Fiacie 125p Akropolis 1800 Fabrykę Samochodów Osobowych – Żerań reprezentować będzie Fin Jussi Kynsilehto wraz z pilotem Martinem Holmesem (dziennikarzem z Anglii).

Równolegle z 44 RMC rozgrywany jest 7 rajd „starszych", tzw. klasa „CHEVRONNES" dla kierowców, którzy pięciokrotnie startowali w RMC i ukończyli 50 rok życia. Naszych barw w tej konkurencji bronią ubiegłoroczni triumfatorzy: Aleksander Sobański i Adam Wędrychowski oraz H. Ruciński i J. Dobrzański, na Polskich Fiatach 125p Akropolis 1800.

Samochody naszych rajdowców Fiat w wersji Akropolis wyposażone zostały w silnik o mocy 150 KM, pięciobiegową skrzynię biegów oraz hamulce chłodzone powietrzem, co pozwoli na nawiązanie równorzędnej walki z rywalami.

W ubiegłorocznym 43 RMC triumfowali Włosi Munari – Manucci na Lancia Stratos, zaś Maciej Stawowiak i Jan Czyżyk zajęli najwyższą lokatę w historii dotychczasowych startów Polaków w RMC – 12 miejsce w klasyfikacji generalnej.

Czy uda się naszym rajdowcom powtórzyć ubiegłoroczny sukces? Odpowiedź na to pytanie poznamy już wkrótce. **(ds)**

Zdjęcie: **K. Adamowski**

REDAKCYJNA POCZTA

Szkodliwa miłość

Już ponad pół roku chodzę z chłopakiem. Nie mogło być jednego dnia, żebyśmy się nie spotkali. Ale jak długo tak można? Zarobiłam kilka dwój z klasówek, a takie stopnie rodzice muszą podpisać. Kręciłam jak mogłam, aż wreszcie wszystko się wydało. Solidnie oberwałam od mamy. I wtedy zrozumiałam, że muszę z czegoś zrezygnować. Postanowiłam więc porzucić chłopaka. Starałam się nie zauważać go i nie odzywać się do niego. Ale okazało się, że nie potrafię tego, że nie mogę tak po prostu zapomnieć o nim. Teraz wiem, że miłość, w moim wieku, tylko mi zaszkodziła. Bo czy można mieć chłopaka, dobrze się uczyć i żyć w zgodzie z rodzicami?

Bożena

Na każde kiwnięcie palcem

Jak dotąd, choć mam 14 lat, nie miałam prawdziwej koleżanki. Jeżeli którejś pomagałam załatwiać różne sprawy z chłopakami, to była dla mnie dobra, później mówiła — żegnaj! W naszej klasie jest dziewczyna, która bardzo lubi rozbijać wszystkie przyjaźnie. Jest dość ładna, gadatliwa, uczy się dobrze i nauczyciele patrzą na nią jak „w obrazek". Wszystkie dziewczyny lecą do niej na każde kiwnięcie palcem. Przyjaciółki zmienia sobie, kiedy chce i na kogo chce. Nikt nie potrafi jej się przeciwstawić. A przecież w ten sposób robi nam ogromną krzywdę.

Ala

Komplement?

Na zabawie tańczyłam z chłopakiem, który powiedział mi, że dawniej byłam antypatyczna. Nie wiedziałam, co to znaczy, więc nie zareagowałam. Chłopak był bardzo fajny i bawiłam się świetnie. Wróciłam do domu w szampańskim humorze. Wzięłam „Słownik Wyrazów Obcych" i... wściekłam się. Nie jestem pewna czy wiedział, co znaczy to słowo, ale teraz muszę się na nim odegrać. Już mi nie zależy na przyjaźni z tym chłopakiem. Myślę tylko, jak się zemścić.

Kaśka

Od redakcji: Przecież chłopak powiedział, że Kaśka była antypatyczna. Wynika z tego, że już taka nie jest. A więc powiedział komplement! I na pewno ma jedną, ważną cechę pozytywną: jest szczery. Może nie warto myśleć o zemście?

Barbara Niemczak, ulica Kolejowa 244, 05-314 Halinów, jest uczennicą VIII klasy, interesuje się sportem — szczególnie piłką nożną, a także piosenką.

Podyskutujmy o przyrodzie

Pragnę nawiązać korespondencję z „Sybillą", autorką listu zatytułowanego „Chrońmy pomniki przyrody" (149 „ŚM"), gdyż ja również jestem wielbicielem przyrody i przewodniczącym koła „Ligi Ochrony Przyrody", które działa na terenie naszej szkoły.

Andrzej Liszka, Grabno 38
32-830 Wojnicz

Ja w związku ze sportową olimpiadą w Innsbrucku. Mówi się, że ktoś jedzie do... no, właśnie jak? — do Innsbrucka czy do Innsbrucku? Słyszę i tak, i tak. — Grześ

Do **Innsbrucka**, z **Innsbrucka** — bo to dopełniacz, ale w **Innsbrucku**, o **Innsbrucku** (miejscownik).

Kropeczko, jak się właściwie pisze: „Giełda hobbistów czy hobbystów"? — Boguśka z Łomżyńskiego

Wyraz **hobby**, choć wymawiamy go: hobbi, piszemy z literą **y**, lecz wyrazy od niego utworzone (pokrewne) — takie jak **hobbista, hobbistyczny** piszemy z **i**. Jest to słuszne, gdyż odmieniają się one po polsku i powstały przy pomocy dodania typowo polskich cząstek. Piszmy je zatem po polsku.

Napisz, proszę, czy można czasownik „zdenerwować" zamienić ze strony czynnej na bierną, to znaczy czy jest on przechodni czy nieprzechodni. Pani powiedziała, że zamiast „zdenerwował się" można powiedzieć „został zdenerwowany". Ja sądzę, że zwrot „został zdenerwowany" jest zły. Napisz, kto ma rację.

— Małgorzata

Absolutnej racji nie mogę przyznać nikomu, gdyż coś tu zostało pokręcone. Myślę, że zrozumiesz to, gdy dam Ci następujący przykład: Wieczorem **Janek umył się** i poszedł spać. Czy można powiedzieć, że przed snem **został umyty?** Nie! Przecież nikt go nie mył, **umył się sam.** Jak widzisz, co innego **myć się,** a co innego **myć** (kogoś, coś). Podobnie jest ze **zdenerwować się** i **zdenerwować** (kogoś). Przy zamianie na stronę bierną możemy brać pod uwagę tylko to drugie. Jeśli mówimy, że **Janek zdenerwował swojego ojca,** to innymi słowy możemy powiedzieć, iż **ojciec został zdenerwowany** przez swego syna Janka. Jeśli mówię, że denerwuje mnie ta sytuacja, to znaczy to, iż jestem zdenerwowana tą sytuacją. Z powyższego wynika: 1) Tak, można czasownik denerwować zamienić ze strony czynnej na bierną. Przyznaję jednak, że zwrot „został zdenerwowany" nie zachwyca mnie i nie należy go nadużywać. 2) Jest ten czasownik tzw. czasownikiem przechodnim, gdyż rządzi bezpośrednio, a więc bez pośrednictwa przyimka, dopełnieniem bliższym. Oto przykłady czasowników przechodnich: **denerwować** (kogo, co?) zwierzęta, kolegów, **czytać** (kogo, co?) książkę, **pisać** (kogo, co?) list.

Mam taki problem. Dotyczy on tzw. stopni pośrednich, czyli plusów i minusów. Polonistka stawia „pięć mniej" i „cztery plus", a biologiczka „mniej pięć" i „plus cztery". Co lepsze? — Aśka z W-wy

Niektórzy jeszcze mówią „minus trzy", co jest już zupełnie tragiczne, bo sugeruje, że istnieją oceny ujemne. Najsensowniejsze wydaje mi się **pięć z minusem** i **cztery z plusem.** Wyrazu biologiczka w rozmowie z nauczycielami nie polecam, gdyż jest... hmmm, zbyt zabawny.

Wasza mgr KROPECZKA

JAGUAR XJ-S

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Nazwę południowoamerykańskiego drapieżnika posiadają w swej marce samochody produkowane w angielskiej wytwórni należącej obecnie do koncernu British Leyland. Wytwórnia ta, założona przez Williama Lyonsa w miejscowości Coventry, wytwarzała najpierw nieseryjne podwozia dla takich samochodów jak AUSTIN, MORRIS, FIAT. Następnie rozpoczęła produkcję pojazdów własnej konstrukcji z marką STANDARD-SWALLOW. Od początku swej działalności zdecydowaną większość wśród wyprodukowanych pojazdów stanowiły samochody sportowe i o charakterze sportowym, cechujące się solidnością wykonania, swoistą angielską-konserwatywną elegancją oraz doskonałą wytrzymałością.

Najnowszym produktem pochodzącym z tej „wyścigowej stajni" jest samochód JAGUAR XJ-S. Jego nadwozie ukształtowane w formę pojazdu sportowego wyróżnia się znaczną długością. Z tego też względu, w odróżnieniu od innych pojazdów tego typu, mieści wygodnie wewnątrz 4 osoby. Szczególnie wydłużona jest przednia część samochodu, w której znajduje się silnik. Znaczna długość tej części jest już tradycyjna w samochodach JAGUAR i pochodzi z okresu, kiedy do napędu samochodów stosowano długie rzędowe, dwunastocylindrowe silniki. Silnik JAGUARA XJ - S jest również dwunastocylindrowy, lecz ukształtowany w formie litery V i z pewnością nie wymaga tak długiego przedziału silnikowego. Jak widać jednak z powyższego, tradycja przeważyła. Nadwozie samochodu jest dwudrzwiowe, szyba tylna posiada nieduże pochylenie.

JAGUAR XJ - S Posiada bezpieczne zderzaki wykonane z elastycznego tworzywa sztucznego, obejmują one również swym zasięgiem znaczne długości bocznych płaszczyzn nadwozia. Jego reflektory stanowią odmianę modnych obecnie kształtów prostokątnych – są one owalne.

Samochód wyposażony jest w dwunastocylindrowy silnik o pojemności 5343 cm sześc. i mocy 285 KM przy 5500 obr. na minutę. Napęd z silnika przenoszony jest na tylne koła za pośrednictwem konwencjonalnych mechanizmów: skrzyni biegów, wału napędowego i przekładni głównej, umieszczonej w obudowie tylnych półosi. Wszystkie koła pojazdu zaopatrzone są w hamulce tarczowe. Wielkości gabarytowe samochodu: długość – 4870 mm, szerokość – 1790 mm, wysokość – 1260 mm. Ciężar pojazdu wynosi 1687 kG.

JAGUAR XJ – S osiąga prędkość 214 km/godz., a przyspiesza od prędkości zerowej do 100 km/godzinę w czasie około 7 sekund. Poziom wykończenia i osiągi składają się na wysoką cenę samochodu, która jest w przybliżeniu równa cenie 8 sztuk Polskich Fiatów 125 P, wyposażonych w silniki o pojemności 1300 cm sześc.

ZENON DUTKIEWICZ

I tak źle, i tak niedobrze

Rozpoczęliśmy tak: Marzena narzekaniem, że u niej w szkole na przerwach panuje kompletny bałagan i chaos, wprost wytrzymać trudno, a Wojtek skargą, że u nich to wszystko jest zorganizowane, usystematyzowane, a on chciałby sobie w czasie przerwy odpocząć. Kto niby nie chce?! Ale jak? Zadaliśmy to pytanie Wam.

Na pierwszy rzut oka po przeczytaniu wszystkich listów, które na tę echo-sondę nadeszły, wydawać by się mogło, że i tak jest źle, i na odwrót też niedobrze.

★

U nas przerwa, to tylko ogłuszający wrzask. Wielu z nas chciałoby spędzać czas na jakoś zorganizowanych przerwach, aby każdy mógł naprawdę odsapnąć. (Anka D.)

★

Nie jesteśmy zwolennikami takich zorganizowanych przerw, lubimy robić to, co chcemy. („Katia")

★

Wcale nie chciałabym, aby przerwy były organizowane. Po co wszyscy mają robić to samo, to byłoby koszmarne! (Wieśka)

★

Wolę już lekcje. Przerwy to ostatnia nuda. Dotychczas nikt nie wpadł na pomysł, aby prowadzić je na wesoło.

★

Gdy byłam w młodszych klasach, to starsze urządzały sobie na przerwach zabawy, ale teraz, gdy sama jestem w starszej, to i starsze wolą się nudzić! (Małgośka)

Skąd niezadowolenie?

Bo jest niezadowolenie. Narzekał Wojtek, narzekała Marzena, narzeka i Małgośka. Ale na kogo narzeka? Na starsze klasy czyli — i na siebie też. No cóż, jak się samemu nie chce, to dobrze byłoby, żeby jakiś ktoś, jakieś coś... Warto zapamiętać. Będzie to bowiem naszego podsumowania **Punkt Pierwszy. Że liczyć trzeba przede wszystkim na siebie.**

Dlaczego nie?

Większość uczestników echo-sondy wypowiedziała się przeciw przerwom organizowanym. Nie, nie chcemy?

Dlaczego? W imię wolności i swobody, w imię robienia w czasie przerwy „comisiępodoba".

U nas nie są organizowane, toteż każdy ma swobodę. (Beata B.)

Organizowane = przymus?

Tak by się mogło, czytając większość wypowiedzi, wydawać. Ale czy swojego rodzaju przymusem nie jest wysłuchiwanie wrzasków i sekundowanie bijatykom? Albo, czy jeśli przerwa jest zorganizowana, to od razu musi być przymus?

★

U nas jedna przerwa trwa 20 minut i wtedy są organizowane (przez samorząd i drużynę harcerską) różne ćwiczenia, gry, zabawy. W czasie pozostałych przerw, każdy robi to co chce. (Baśka)

★

U nas każdy robi w czasie przerwy to, na co ma ochotę — jedni idą na boisko, inni do czytelni, można spacerować po korytarzu, można siedzieć w klasie — i... wszyscy są zadowoleni. Jak komuś przyjdzie jakiś pomysł do głowy, to nawet zorganizujemy sobie jakąś zabawę, ale nigdy nie jest ona obowiązkowa. Bardzo lubię przerwy w swojej szkole! (Loretta)

Podsumowanie echo-sondy „Dzwonek, przerwa!"

FAJNIE?! CZY TO SIĘ W OGÓLE DA? ALEŻ TAK, OCZYWIŚCIE!

W naszej szkole na każdej przerwie można posłuchać najnowszych nagrań zespołów, które są nadawane przez radiowęzeł. Poza tym na dłuższej przerwie odbywają się w sali gimnastycznej rozgrywki w piłkę ręczną i siatkową. Wszyscy uczniowie myślą nad jeszcze lepszym zorganizowaniem wolnego czasu między lekcjami — swoje pomysły wkładamy do tzw. skrzynki propozycji, skąd wybiera je samorząd.

(Gośka K.)

A więc? I to byłby naszego podsumowania **Punkt Drugi. Że wcale nie chodzi o to, aby wszyscy robili to samo. Wręcz przeciwnie — o to, aby każdy miał do wyboru różne rzeczy.**

Marzenia wcale od rzeczywistości nie tak dalekie

Jestem przewodniczącą samorządu szkolnego i ze skóry wychodzę, żeby coś w czasie naszych przerw zorganizować. Niestety, wszyscy są przeciwko mnie, bo koleżanki i koledzy wolą w tym czasie powtórzyć jeszcze raz lekcje. A mnie się marzą różne fajne zajęcia — i gry sportowe, i tańce, i może filmiki krótkie dla młodszych, i czytelnia... (Ewa)

★

W poprzednich latach na każdej przerwie uczyłam się, powtarzałam lekcje. Teraz, od kiedy pracuję w naszym harcerskim sklepiku, nie mam na to czasu i przyzwyczaiłam się do uczenia się solidnie w domu. I okazało się, że to przynosi świetne rezultaty. Naprawdę! Doszłam do wniosku, że bezsensem jest spędzanie przerw na odrabianiu lekcji! (Dorota)

★

Jeżeli jest jakieś święto, to przez głośnik puszczane są różne audycje. A gdyby tak, kiedy nie ma audycji, puszczać muzykę?! Żeby zaś było sprawiedliwie, to nawet co drugą przerwę — raz muzyka do tańca, raz bajki dla młodszych. („Squaw")

★

Marzę o przerwach z muzyką, tańcami i koncertem życzeń. („Kama")

★

Bardzo bym chciała, żeby np. w świetlicy były różne gry, czasopisma. Jak kogoś to nie interesuje, to mógłby sobie spacerować, ale na pewno wielu byłoby chętnych. I jeszcze chciałabym, żeby było pomieszczenie gdzie można zjeść śniadanie, bo na korytarzu, to zawsze ktoś wytrąci, a w klasie nie wolno. (Alicja)

Oczywiście, że wcale nie tak dalekie. Trochę dobrej woli, dobrych chęci, — patrz Punkt Pierwszy — trochę inicjatywy ze strony samorządu i szczepu harcerskiego i okazać się może, że jest... zupełnie fajnie.

Czyli jak?

- **czyli — bez przymusu,**
- **czyli — każdy ma do wyboru różne możliwości spędzania czasu,**
- **czyli — wesoło,**
- **czyli... stop! Dzwonek, przerwa!**

E. KŁOSIEWICZ i W. SŁOWIŃSKI

WZOROWO wykonaliście listopadowe zadanie, setkami karmników sprawiając radość skrzydlatym przyjaciołom! Udane projekty ptasich stołówek nadesłali m. in. Andrzej Kamiński z Warszawy, Kasia Rutkowska z Wrocławia, Krzysztof Olszak z Gdyni, Beata Przesmycka, mieszkanka Łodzi. Mirosław Pietruszka z Ostrowca udoskonalił karmnik typu butelkowego, zaś Ryszard Szwej opracował karmnik z przeciwśnieżną klapą.

Wszystkich ptakolubów, którzy pomagają ptakom przetrwać zimę, nie sposób wymienić. Wielu z was opiekuje się chorymi ptakami. Np. Alfred Łazan z Kobyłki wyleczył wróbla ze złamaną nóżką, uratował życie piskląt czajek, do których dobierał się kot. Pomógł też „przyjść do siebie" przemokniętemu szpakowi.

Sto karmników na medal!

CO ZROBIĆ Z KŁUSOWNIKIEM

Podobnie uczyniła Beata Przesmycka ratując przemoknięte szpaczęta, których domek spadł na ziemię podczas burzy.

Niestety, otrzymujemy także meldunki nie napawające optymizmem. Janusz Kaźmierski z Katowic uwolnił wróbla, którego „dowcipnisie" powiesili za nogi na gałęzi! Andrzej Kozik z Radkowa spotkał w lesie grupę starszych chłopców, którzy chwytali ptaki w sieci. Wobec liczebnej przewagi kłusowników poczuł się bezsilny. Robert Kierstan z Obornik, który założył kółko ptakolubów z siedzibą w opuszczonej leśnej chacie, przyłapał kłusownika strzelającego do ptaka. Ptaszka udało się uratować, a i winowajca nie uszedł bezkarnie. Schwytany na gorącym uczynku, musiał wykonać za karę dwa karmniki!

Przypominamy, że wszelkie formy kłusownictwa: strzelanie do ptaków z broni palnej, procy, chwytanie ich w sieci, wnyki itp. jest sprzeczne z prawem. Jeśli zaobserwujecie podobne do opisanych ekscesy, powiadomcie o nich leśniczego, strażnika łowieckiego, straż ochrony przyrody, nauczyciela, opiekuna harcerstwa albo nawet komendanta milicji. Winni muszą zostać ukarani!

MARIA WRÓBLEWSKA

P.S. W imieniu pani Marii Przyborowskiej zamieszkałej przy ul. Raszyńskiej 54 m. 6 w Warszawie zwracamy się do warszawskich ptakolubów z prośbą o sporządzenie karmnika. Pani Maria od wielu lat wysypuje ptakom smakołyki na parapecie, ale sama z racji podeszłego wieku nie jest w stanie zbudować stołówki dla skrzydlatych biesiadników.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Dziś na moim znaczku widzicie zamiast mnie – moją podobiznę w postaci bombki choinkowej. Przysłała ją Małgosia Kubica, moja wierna Czytelniczka z Opola. Małgosia pisze, że według niej takie właśnie bombki powinny być w sprzedaży. Ja też tak uważam, ale kto zechce produkować czarne bombki choinkowe?

Ustępuję teraz miejsca przy redakcyjnym biurku Rzepince. Pa!

Coraz więcej jest w naszym kraju zastępów „Rzepinek". Serdecznie pozdrawiam i całuję cały kolejny mój zastęp w 72 drużynie żeńskiej w Pułtusku!

Uwaga, Rzepinki z Pułtuska proszą inne zastępy „Rzepinek" o listy na adres: Małgorzata Strusińska, 06-100 Pułtusk, ul. 22 Lipca 56 f m. 33.

Teraz spełniam prośbę: oto mój portret, według którego wykonajcie „totemy" zastępów. Głowę możecie zrobić oklejając kilkoma warstwami papierków i kawałków płótna nadmuchany okrągły balonik. Pomalować farbą plakatową.

Do zobaczenia!

Rzepinka

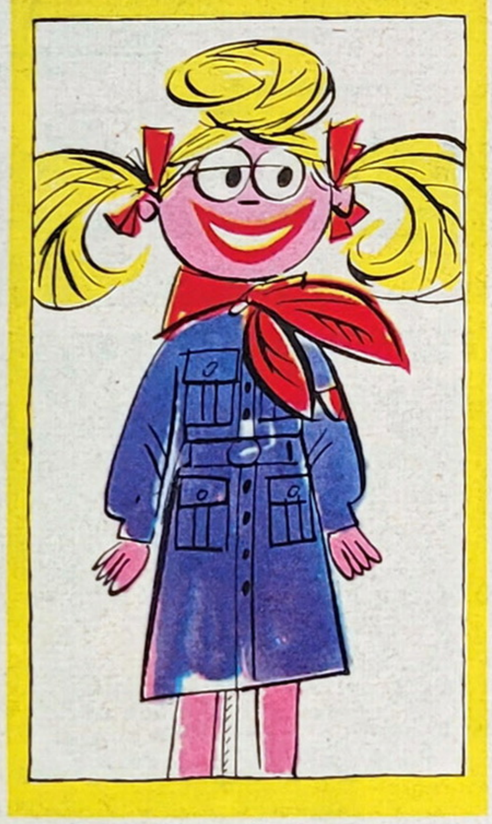

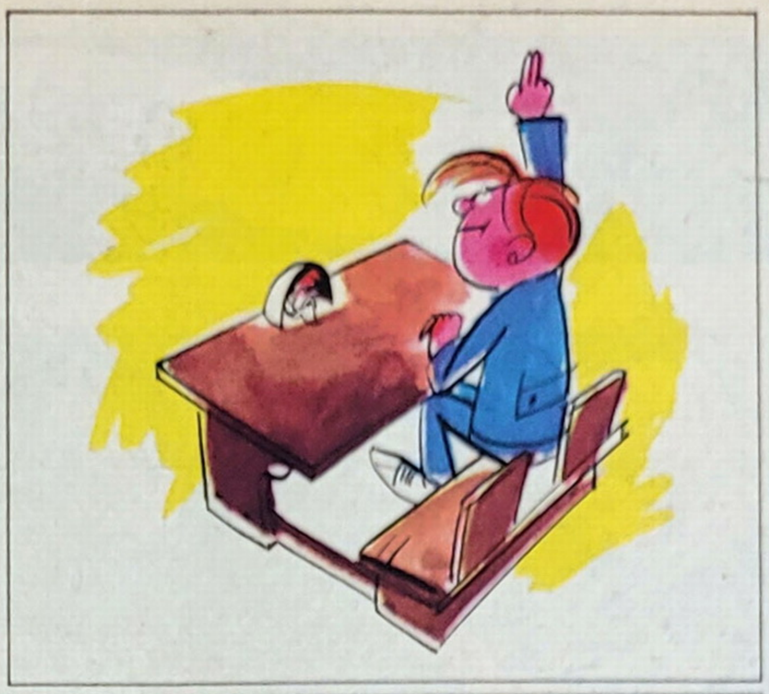

Rys. W. Lewiński

RZEPKLUB Przyjmuję do Rzepklubu Agnieszkę Walczyk. Oto dwa spośród nadesłanych przez nią zabawnych rysunków.

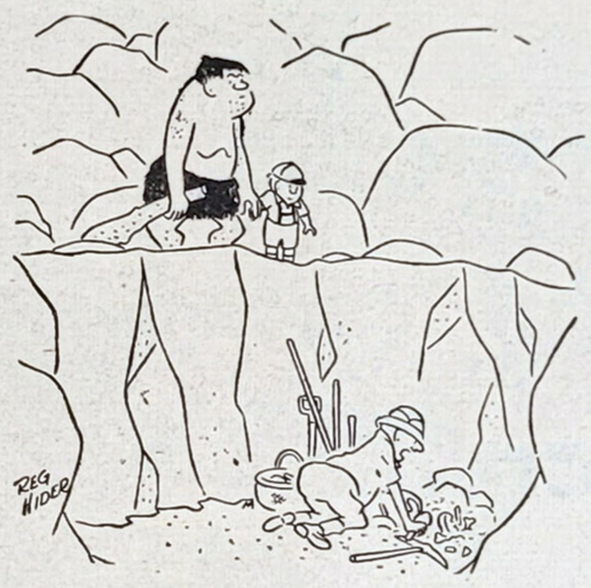

– Daj mi spokój, mój mały! Nie mam czasu zajmować się twoim nowym kolegą...

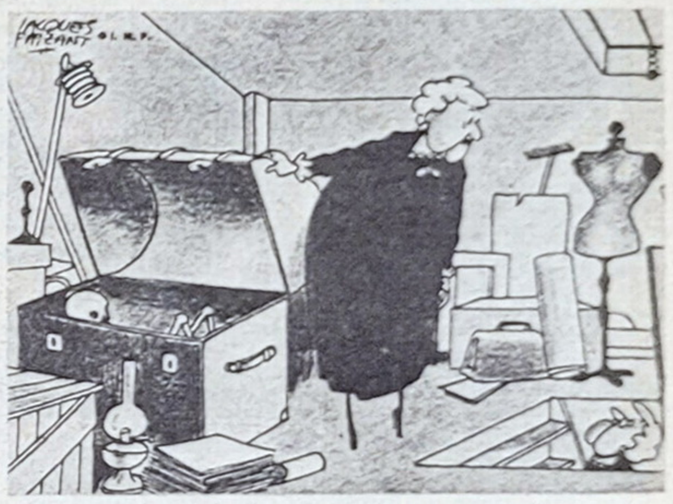

– Czy pamiętasz tę naszą zabawę w chowanego po przyjęciu z okazji moich osiemnastych urodzin?...

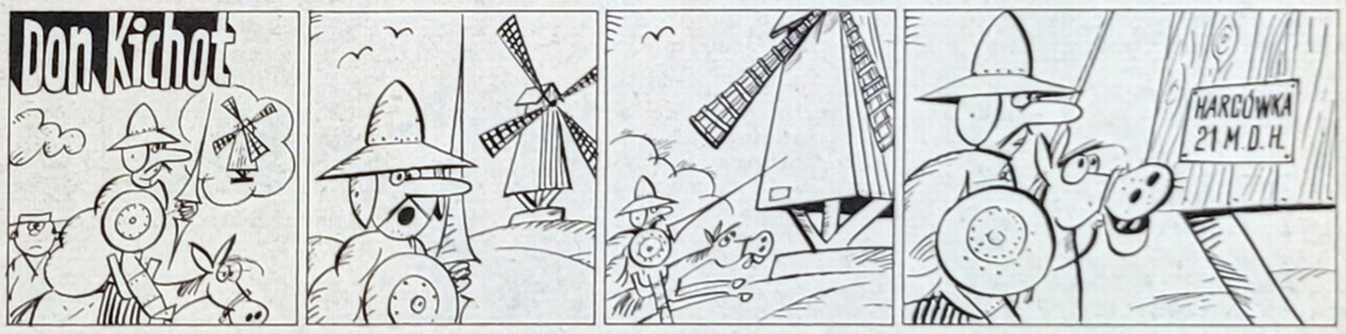

nie można zrozumieć, czarna magia, nie wiadomo, gdzie koniec, a gdzie początek.

– Mamo, powiedz...

– Tak?

– Chciałabyś być kimś innym?

– Nie chciałabym.

– Ale kimś bardzo sławnym?

– Nie, nawet kimś bardzo sławnym też nie.

– I nigdy nie chciałaś?

– Chciałam, jasne, że chciałam – mama uśmiecha się przepraszająco, może się wstydzi tych minionych chceń. – Była taka piosenkarka, Marta Mirska, pewnie nigdy nie słyszałaś o niej, ja się nią zachwycałam wyciągając trele w łazience. Nie miałam głosu ani słuchu, prawdę powiedziawszy. Wyobrażałam sobie też, że będą uczoną, zdaje się, że miałam zamiar przeprowadzać olśniewające eksperymenty w laboratorium. Szklane retorty, szumiące palniki, różnokolorowe płyny, ja w białym fartuchu, skupiona... Na litość boską, co za głupstwa przychodziły mi do głowy! Musiałam widzieć jakiś film o wielkiej uczonej, to mnie częściowo tłumaczy.

– Dlaczego mówisz, mamo, że to głupstwa?

– Madziu, miałam poważne kłopoty z arytmometrem. Każda zmiana w systemach rozliczeniowych wpędza mnie na jakiś czas w panikę, gdyby mi polecono reorganizować cokolwiek, przypuszczalnie umarłabym z przerażenia. Jednym słowem jestem przeciwieństwem tego, co zwykło się nazywać twórczym umysłem.

– A wtedy... wtedy, kiedy marzyłaś, wiedziałaś o tym?

– Nie. Skąd mogłabym wiedzieć?

– Więc kiedy się dowiedziałaś?

– Nieprędko. Właściwie całkiem niedawno.

Zapada cisza.

– Nie martw się za mnie, Madziu – przygarnia mnie ramię mamy. Jestem bardzo ciekawa, co zrobicie ze swoimi marzeniami.

– A jeśli z nich nic nie wyjdzie, to co?

– To przekażesz je swoim dzieciom. Wreszcie nie wszyscy mogą być wielkimi ludźmi, najwięcej jest zwyczajnych i oni są potrzebni.

– Po co?

– Po to, żeby wychowywać dorastające córki, sporządzać bilanse kwartalne, gotować obiady i od czasu do czasu pogadać o ważnych sprawach.

– Dobrze, że jesteś taka – mówię i naprawdę to myślę chociaż jeszcze niedawno byłam zdania, że w mamie nie ma nic specjalnie interesującego, umie tylko nieustannie zwracać nam uwagę i troszczyć się o dom. Pomyłka, po prostu ja nic nie umiałam zobaczyć.

Takie jest moje pogodzenie się z tym, co mnie ominęło, pojawiło się, nie wiadomo skąd, było i nie było jednocześnie. Wysoko, na żniwnym wozie, nad czubami wierzb słyszę minioną muzykę, o tam, w bruździe kartofliska, jaskrawią się czerwone maki, cała kępa. W lesie, oskubując z owoców sprężyste gałązki malin, widzę dwie głowy przy oknie i jeszcze raz czuję tamten żal i tamtą złość. W ciemnym zakątku, pod smutkiem olch i szeptem osiki, biegnę przez deszcz i wracam przez deszcz, jak wtedy nie rozumiejąca i jak wtedy nieszczęśliwa – ale to wszystko już straciło kolory, woń i ciężar.

Z zachłannością pochłaniam książki, każda zbieżność wymyślonych losów z moim własnym przyprawia mnie o bicie serca, podkreślam ołówkiem wybrane zdania, na marginesie stawiam wykrzykniki i znaki zapytania. Tak bym nie postąpiła... Z tym się nie zgadzam... To uważam za niesprawiedliwe... Moja decyzja byłaby z pewnością inna.

Największy spokój spływa na mnie nad jeziorem, nad zatoczką zgubioną w trzcinach, gdzie drzemie leciwy szczupak i zaskrońce wygrzewają się w słonecznej plamie. Przychodzę tu zawsze sama, nikt nie wie o istnieniu tej malusieńkiej plażki okrytej przez dżunglę trzcin, należy tylko do mnie. Trochę pływam, trochę myślę, a najczęściej siedzę na brzegu obejmując ramionami kolana. Wokół mnie dzieje się tysiąc spraw, po trzcinach biega zaaferowany zwierzaczek, najmniejsza w świecie myszka, jej drobniutkie pazurki obejmują ściśle łodyżkę, na liściu grążela przysiadła stateczna żaba, nieznany ptaszek popiskuje niewidoczny, narybek całymi stadami wpływa na płyciznę i ucieka z płycizny przerażony czymś niedostrzegalnym dla mnie. Niby lśniący kwiat – nad wodą tańczy ważka.

C.d.n.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100021. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Dąbrowski

Opracowanie graficzne: Szarlota Pawel

Redakcja techniczna: Henryka Zochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 10 67 J-30
Nr indeksu — 35039/35046.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

KOSMIDER I FILO

RYS. T. RACZKIEWICZ
SCEN. J. DĄBROWSKI

3

MOŻE NIE, MOŻE TAK

34

EWA NOWACKA

— ... chłopiec, o którym ci opowiadałam...

— To nie był ojciec?

— Skąd! To była moja pierwsza miłość, mogłabym powiedzieć: cielęca miłość, ale nie określę jej w ten sposób. — Paldzieć: cielęca miłość, ale nie określę jej w ten sposób. — Palce mamy zręcznie łuskają zielone strączki, będzie na obiad groch z marchewką albo zupa-śmietnik. — Wtedy było to dla mnie coś poważnego, było prawdziwe. Nie można się wyśmiewać z prawdziwych spraw, choćby po latach wydawały się niepoważne.

— Co się stało z tym chłopcem?

— Nie wiem. Myślę, że się ożenił, ma dzieci. Pewno bym go nie poznała, gdybyśmy spotkali się na ulicy.

— A on ciebie?

— Także by nie poznał. Ćwierć wieku minęło od ostatniego spotkania. Jeszcze trochę i będziemy oboje mieli wnuki. Ja je na pewno niedługo będę miała, on, jak przypuszczam też. — Mama wręcza mi miskę z wyłuskanym groszkiem, pochyla się, zbiera strączki, które spadły na podłogę. — Odnieś to do kuchni.

Nie odnoszę, bo muszę jeszcze o coś zapytać.

— Mamo, tobie nie żal?

— Czego nie żal?

— No... — i kończę moje pytanie jednym tchem: — No, tego, że tamto się skończyło?

— Tamto się skończyło, żeby się mogło zacząć coś innego. Potem coś innego też się skończyło i przyszło coś jeszcze innego.

— I jesteś zadowolona, że to nie jest tak, jak sobie kiedyś wyobrażałaś?

Mama zastygła z rozdartym strąkiem w palcach.

— Trudne pytanie, ale wiesz co, Madziu, powinnam się na ciebie obrazić.

— Dlaczego?

— Bo zakładając, że oczekiwałam czegoś innego, musiałabyś przyjąć, że chciałabym mieć inną córkę, innego syna, w ogóle inne życie. Czy rzeczywiście wyobrażasz sobie, że zamieniłabym cię na kogoś innego?

— Nie. To niemożliwe...

— Właśnie niemożliwe. I chociażby dlatego twoje pytanie nie ma sensu.

My nazywamy te rozmowy — rozmowami o życiu, pewno na wyrost. Mnie one dużo dają. Dotąd sądziłam, że jestem inna niż wszyscy, a okazuje się, że wcale nie jestem. Przecież nie mówię z mamą o sobie, a jednak cały czas rozmawiamy o mnie.

Jest taka piosenka, „Nic dwa razy się nie zdarza"... To nie jest prawda, a jednocześnie jest to najprawdziwsza prawda. Myślę, że wszystko powtarza się od początku świata, powtarza się dla każdego, tylko że każdy przeżywa to samo inaczej. Można by powiedzieć, że nic się ważnego nie dzieje, bo już wszystko było, znane, opisane, zwyczajne. Ale zwyczajne jest niezwyczajne dla tego, kto to przeżywa. Co mi pomoże, jeżeli wyliczę sobie wszystkie bohaterki książek, które też pierwszy raz kochały się nieszczęśliwie? Czy będzie mi lżej, kiedy przypomnę sobie wszystkie filmy o nieudanych uczuciach? Czy mogę zlekceważyć moje myślenie o Wieśku stwierdzeniem, że Agnieszka też się w nim podkochiwała bez wzajemności? A i Milena chyba także... Czy Magdzie cokolwiek pomoże świadomość, że Agnieszce i Milenie nie udało się tak samo jak jej?

Więc to, że coś jest znane, nie przekreśla wcale tego, że każdy stanie któregoś dnia oniemiały i przerażony przed pierwszym uczuciem, pierwszą rozpaczą, pierwszym rozstaniem, pierwszym prawdziwym smutkiem, pierwszą tęsknotą. I że przeżyje je tak, jakby jemu jedynemu na całym wielkim świecie dano przeżyć coś podobnego. Czasami myślę, że życie jest niedorzecznie pokręcone, zachachmęcone, zakalapućkane, właściwie wszystko jest względne. Spojrzysz tak — sprawa jasna nie ma się nad czym zastanawiać, spojrzysz owak — nic

Ciąg dalszy na str. 7